

Konwikt



Florian Śmieja

Nazwa “Konwikt biskupi” dzisiaj znalazłaby niewiele zrozumienia, a jeszcze mniej entuzjazmu. Inaczej było w 1935 roku, kiedy dziesięcioletni smyk wyczytał ją w tygodniku “Gość Niedzielny”, w małej przygranicznej miejscowości na Górnym

Śląsku. Budynek instytucji, pokoje, a także fotografia dystyngowanego dyrektora, księdza prefekta, zrobiły wielkie wrażenie na malcu, natychmiast wywołały pragnienie, by się do tej bursy dostać. Nie bacząc na sytuację, odruchowo napisał list do dyrektora, dodając nieporadnym pismem skreślonemu podaniu autorytetu ojcowskiego stempla "Piotr Śmieja, Cegielnia Parowa, Kończyce".

Petycja nie została zignorowana, coś tknęło adresata, by odpowiedzieć na apel śmiałego chłopca. Szef internatu w Tarnowskich Górach radził, że skoro petent jest dopiero w piątej klasie szkoły powszechnej, to potrzebuje zaliczyć szóstą. Dodał, że na miejscu cieszyła się dobrą sławą szkoła, tzw. Ćwiczeniówka, do której mógł się zapisać do szóstej klasy, a potem zdawać egzamin do gimnazjum.

Ojciec, widocznie na naleganie matki, zgodził się wysłać małolata do obcego miasta i do innego środowiska z dala od rodzinnego domu. Sąsiadka pomogła usypać pierzynkę i autobusem z matką pojechałem z tobołkami do Tarnowskich Gór. Tak zaczęła się moja trzyletnia przygoda w internacie.

Przy ulicy Powstańców stał duży budynek z czerwonej cegły, dwupiętrowy z kaplicą. To w nim, w dwu dużych salach urządzono sypialnie dla starszych i młodszych uczniów, w dużym pomieszczeniu, zwanym studium, stało kilkadziesiąt

pulpitów do odrabiania lekcji po południu i wieczorem. W refektarzu podawano posiłki, które przygotowywały cztery zakonnice także opiekujące się całym gospodarstwem domowym. W piwnicy stały szafki z butami, tam przewidziane było po kolacji powszechne czyszczenie butów.



Konwikt Biskupi w Tarnowskich Górach, fot. wikipedia.

Rozpiętość wieku alumnów wahała się od lat jedenastu, jak w moim wypadku, po mężczyzn dwudziestoletnich i nieco starszych, repetujących egzaminy maturalne. Obok żółtodzioba z zabitej wioski, były też niebieskie ptaki, co to z niejednego pieca chleb jadły, niektórzy mieli ponoć wilcze bilety i w małej

mieście śląskiej próbowali szczęścia, by sforsować tę konieczną barierę, która nie pozwalała im pójść na studia. Sądzę, że komplet internatu składał się z czterdziestu kilku osób głównie z terenu Górnego Śląska z garstką przyjezdnych ze stron dalszych, nawet z Francji. Roczna opłata za mieszkanie i wyżywienie wynosiła 600 złotych, a pełne chesne w gimnazjum kosztowało ojca 220 złotych, bo jako osoba prywatna nie miał żadnej zniżki.

Współżycie w takiej grupie było pamiętnym doświadczeniem. Edukowało dosłownie i powodowało szlifowanie jednostek w ciągłym kontakcie z innymi. Starsi koledzy służyli radą i chętnie popisywali się posiadaniem większej wiedzy. Jeden z nich nakłonił mnie do nabycia jego starego podręcznika "*Disce puer latine*", potrzebnego mi dopiero od drugiego półroczu pierwszej klasy gimnazjalnej, lecz za to nauczył mnie tyle łaciny, że kiedy zaczęły się jej lekcje, wysforowałem się na czoło klasy i już tego miejsca nikomu nie oddałem. Łacinnik, "Kalwas", surowy i postrach uczniów był ze mnie bardzo dumny, nazywając zazwyczaj starszych studentów, końmi Bożymi, kazał im ze mnie brać przykład. Po dziś dzień pamiętam, kiedy go sromotnie zawiodłem w czasie wizytacji dyrektorskiej, i nie potrafiłem odpowiedzieć na jego proste pytanie.

Wtedy też gwara śląską, którą się wyłącznie posługiwałem w Kończycach, zaczęła zastępować polszczyzna literacka. Prawdopodobnie dopilnowali tego nauczyciele, których z

kurtuazji nazywaliśmy profesorami. I tak polonista Huza, podkreślał wyrażenia w moich wypracowaniach, kładąc na marginesie uwagi "gwara". Musiałem też w rozmowach z kolegami w klasie używać polszczyzny. W szóstej klasie tzw. Ćwiczeniówce zaprzyjaźniłem się z Halinką, córką majora 11 pułku piechoty stacjonującego w Tarnowskich Górach. Po jego nagłej śmierci często bywałem w domu Halinki, który był naprzeciwko konwiktu. Tam nie mówiono gwarą.

Będąc beniaminkiem czeladki w wieku dorastania i konfliktów z autorytetami, byłem wystawiony na sytuacje trudne i nie jednoznaczne. Ksiądz prefekt miał problemy dyscyplinarne z krnąbrnymi i niesfornymi studentami. Niekiedy do rozprawienia się z nimi posługiwał się najmłodszymi wychowankami korzystając z ich naiwnej prostolinijności. Pamiętam, jak pewnego razu po swojej perorze przeciwko paleniu tytoniu, zauważył czyjąś rękę z papierosem grożącą mu z tyłu.

Nie potrafiąc zidentyfikować sprawcy, wzywał nas, najmłodszych, potem na rozmowy i uzyskał potwierdzenie swoich przypuszczeń. Winny student został wydalony. Do mojego pamiętnika oprócz kolegów wpisywali się niektórzy z naszej starszyny. Zapewne nawiązując do epizodu wyżej opisanego, autor zacytował wierszyk, którego w całości nie potrafię już przytoczyć. Chodziło o prawdę i jej chwalebne cechy.

...Prawdą Bóg sam.

Za prawdę wieczne szczęście cię czeka

Lecz gdy masz prawdą zabić człowieka

To wtedy kłam.

W sali studiów obowiązywała cisza, tym dramatyczniej rozległo się pewnego razu stukanie w jednym z pulpitów. Dyżurujący student, senior, podniósł blat pulpitu, by ujrzeć prymitywny odbiornik sygnałów Morse'a, który przemyślny kolega zmajstrował i skutecznie zademonstrował. Wówczas też nauczyłem się konstruowania radia z kryształkiem. W piwnicy urządziliśmy sobie laboratorium chemiczne, paliliśmy siarkę z opiłkami i wytwarzaliśmy śmierdzące gazy. Prąd elektryczny podłączaliśmy do klamki. Wtedy podając sobie ręce tworzyliśmy łańcuch i podskakiwaliśmy, by znieść "kopanie" prądu. Udało się nam raz złapać najmłodszą zakonnicę, która pewnie od tego momentu kojarzyła dotyk mężczyzny z diabelską elektrycznością.



Tarnowskie Góry na starych
pocztówkach

Ponieważ moja matka od czasu do czasu zaopatrywała mnie w masło, na śniadania dostawałem posmarowaną bułkę. Przypominam sobie zatarg z kolegą, który także dostawał bułkę z masłem. Kiedy ktoś mu ją zjadł, on najspokojniej zabrał mi moją, uważając, że postąpił właściwie. Na niedzielne obiady niekiedy bywały kluski śląskie, nieduże i raczej "gumowe". Choć drobny

chłopaczek, apetyt miałem dorosły. Zjadłem na raz 25 klusek, bijąc dryblasa, który mógł skosztować tylko 18 sztuk.

Ksiądz prefekt był także naszym profesorem od religii w gimnazjum. Z ministranturą mieliśmy ciągle na pieńku. Wpadliśmy na pomysł, jak ją wreszcie zdać. Zatelefonowałem do księdza gotów zdawać przez telefon. Jeszcze dziś słyszę wezwania w słuchawce "kto mówi, kto mówi". Ale frajerów już wtedy nie było.

Na pocztę, z której telefonowałem, później stałem w ogonku do okienka, gdzie sprzedawano piękny znaczek pamiątkowy na cześć mającego się odbyć lotu balonu polskiego do stratosfery. Bloczek bodaj kosztował dwa złote, pokaźna kwota dla malucha. Dusilem srebrną monetę i w końcu zrezygnowałem i znaczka nie kupiłem.

Młodszy wychowanek trzymał przepisowo pieniądze kieszonkowe w depozycie i po obiedzie zgłaszał się do księdza prefekta z zeszytem z prośbą o wydanie drobnych kwot na doraźne wydatki. Z zaoszczędzonych groszy mogli sobie kupić coś dla siebie.

A w Tarnowskich Górach przy ul. Krakowskiej kusił nas salon lodów "Italia". Za 40 groszy podawano tam w niklowanych pucharach porcje wybornych lodów. Zazwyczaj trzy ćwiartki były

wypełnione lodami, a czwarta, śmietaną. O takiej pełnej porcji można było tylko marzyć, kontentowaliśmy się, i to rzadko, mniejszą porcją.

Znaczki pocztowe kolekcjonowałem z pasją. Wszystko zaczęło się od odwiedzin mieszkającego w naszej kamienicy w Kończycach lokatora, Wilhelma. Służył on we francuskiej legii cudzoziemskiej. Z dobrych nawyków, które stamtąd przywiózł, była filatelistyka. Uzbierał dużo pięknych znaczków. Urzekł mnie widok jego albumów. Podarował mi kilka znaczków podwójnych. Wśród nich był irlandzki, który pomyliłem z fińskim. Nic mi wtedy nie mówił kształt wyspy irlandzkiej na znaczku, a miałem w przyszłości spędzić na tej wyspie trzy beztroskie lata uniwersyteckie.

Matka aprobowwała moje zbieractwo, ale była przeciwna kupowaniu znaczków. Kiedy przyjechała w odwiedziny do Tarnowskich Gór, ja akurat sprawiłem sobie serię znaczków, które pośpiesznie ukryłem na głowie pod czapką. Pech chciał, że mama postanowiła swojego najstarszego ostrzyc. Kiedy weszliśmy do fryzjera, musiałem zdjąć czapkę i pofrunęły moje znaczki...

Gorącym dniem w konwikcie stał się dzień, w którym gruchnęła wieść, że skradziono album ze znaczkami jednemu z wychowanków. Ksiądz prefekt dobrał sobie kilku zaufanych

starszych studentów, zamknięto internat i zaczęło się gruntowne przeszukiwanie budynku. Akcja przyniosła rezultat. Na strychu za jedną z szaf album znaleziono. Nie pamiętam już finału całej tej historii.

Sypialnia młodszych studentów była większa od dormitorium starszych. Za winy popełnione i dla nauczki, ci ostatni od czasu do czasu, by nas nauczyć respektu, dawali nam w nocy "koca". Przychodzili po ciemku i nie szczędzili batów. Myśleliśmy o odwecie, ale kończyło się na hałasach i rzucaniu jakichś przedmiotów przez otwarte drzwi. Baliśmy się większego lania w razie schwytania na ich sali.

Obok konwiktów stał budynek sądu grodzkiego i więzienie. Widywaliśmy próby komunikowania się więźniów z rodziną podchodzącą do parkanu. Podawaliśmy rzucone niekiedy na nasz teren listy. Z ciekawości zgłosiłem się parę razy, by służyć za ministranta w więzieniu.

Tarnowskie Góry były miastem garnizonowym, w którym stacjonowały dwa pułki: 11 Pułk Piechoty oraz 3 Pułk Ułanów. Trzeba było widzieć ich powrót z manewrów! Całe miasto wylegało na powitanie. Któż nie czuł dumy na widok wyćwiczonych czwórek piechoty, a co dopiero patrząc na setki koni w ułańskich trójkach. Orkiestry dęły z całego serca napełniając rynek i przyległe ulice świętem i radością.

Ułani zapraszali nas chętnie na pobliski poligon, gdzie podziwialiśmy ściganie się jeźdźców, gonitwy, by lancą nadziać kukłę słomianą lub szablą ściąć witkę. Przyglądaliśmy się manewrowaniu taczanek i dział przeciw



Tarnowskie Góry na starej pocztówce.

ernych, które stawiały czoła makietom czołgów wytaczanych na horyzoncie. Ileż to było emocji, ile obaw i nadziei. Na "kryj się, lotnik", wyły syreny nad miastem, kiedy samotna awionetka symulowała nieprzyjacielską inkursję samolotów w polskie niebo.

Z synem pułkownika 3 Pułku Ułanów, Bohdanem, rywalizowałem z powodzeniem w pierwszej i drugiej klasie, mimo że mógł on liczyć na nadzwyczajne posiłki w postaci swojej matki, która pojawiała się na wywiadówkach w obłokach perfum, a cała kadra pedagogiczna śpieszyła, by pocałować ją w rękę. Moja matka nie wiedziała, co to jest wywiadówka.

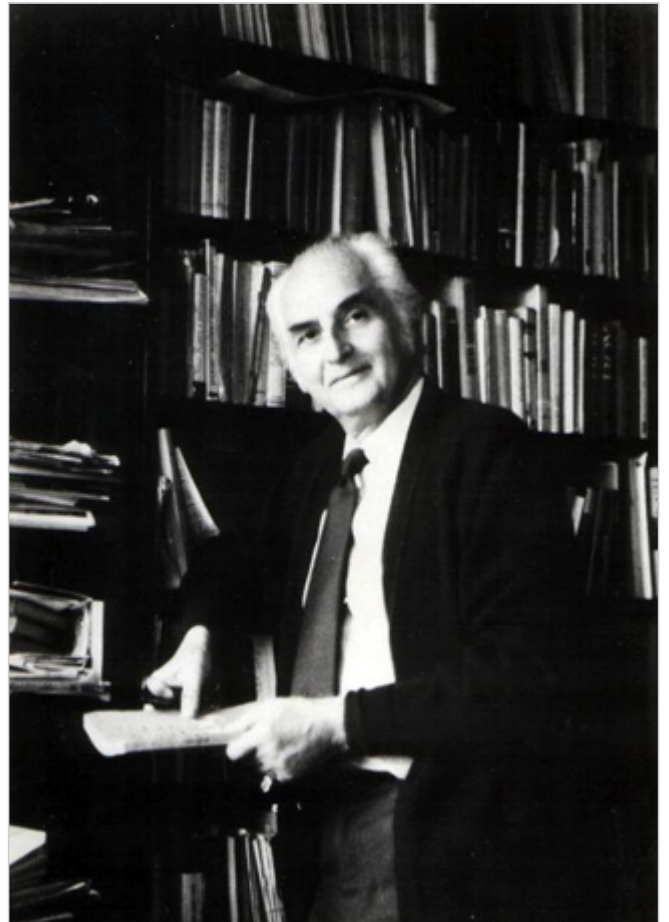
Zabawną polszczyzną mówił nasz germanista Knosala, a matematyk, Broniec, część lekcji poświęcał sprzedawaniu papierowych ekierek i kątomierzy. Kosztowały one grosze, ale i o nie musiał się upominać w czasie spotkań z rodzicami. Zobaczyłem go po raz ostatni 1 sierpnia 1939 roku, kiedy przejeżdżałem przez Kraków, a on stał w kolejce do kasy biletowej na dworcu. Nasz pan od geografii, Henryk Wójcik, jak słyszę, pochodził z Opolszczyzny, z której tak jak nasz germanista salwował się po przegranym plebiscycie. Jego obsesją było poznawanie Polski, kiedy nie agitował za popieraniem Funduszu Obrony Narodowej i budowaniem ścigaczy dla obrony wybrzeża.

Już jako dwunastolatek, absolwent szóstej klasy szkoły powszechnej (Ćwiczeniówki) zabrałem się z wycieczką przez niego organizowaną do Wilna i Pińska. Było nas około pół setki chłopców i dziewcząt. Chłopcy byli z wyższych klas gimnazjum i liceum im. ks. Jana Opolskiego, a dziewczęta, tzw. "Raciborzanki", Polki z Niemiec uczęszczające czasowo do szkoły

w Tarnowskich Górach póki budowało się dla nich gimnazjum w Raciborzu. Wśród nich była Anna Bożkówna, córka Arki Bożka, przywódcy Polaków w Niemczech, którego komuniści najpierw wynieśli na urząd wicewojewody, a potem z innymi działaczami polskimi na Opolszczyźnie, sponiewierali i zniszczyli. Ona opiekowała się mną podczas owej wycieczki, która odwiedziła Łódź i jej przędzalnie i tkalnie, Warszawę, Puszcę Białowieską z Hajnówką i żubrami, Wilno z jego Ostrą Bramą i cmentarzem na Rossie, z wycieczką "Panem Tadeuszem" do Werek, następnie do Baranowicz, Łunińca i Pińska, z wypadem parowcem "Orzeł" na jezioro Horodyszcze. Po wielu latach skonstatowałem, że naszą przewodniczką po Wilnie była poetka, Zofia Bohdanowiczowa.

W roku 1938 na naszym szlaku znalazły się Poznań i Gdynia. Byliśmy też na Helu i odwiedzili Oksywie ze stawiaczem m.in. "Gryfem". W czasie tej wycieczki wypaliłem mojego pierwszego papierosa, by się solidaryzować z klasą. Na szczęście, na tym skończył się mój romans z tytoniem.

W lokalnym kinie byłem kilka razy, pamiętam, że podobał mi się film z uroczą Kanadyjką, Deanną Durbin. Ale dobre filmy były dostępne od lat szesnastu, a z tym był, oczywiście, kłopot.



Leopold Pobóg-Kielanowski,
fot. Encyklopedia Teatru
Polskiego.

Do teatru natomiast trzeba się było wybrać do innego miasta. Nie zapomniałem wycieczki klasy do Katowic do teatru im. St. Wyspiańskiego na hiszpańską sztukę Calderona w przekładzie Juliusza Słowackiego "Księżę Niezłomny". Był to rok 1938. Niezatarte wrażenie zrobili na mnie strojni portugalscy infanci, którzy pokazali się po podniesieniu kurtyny. Jeden z nich wygłosił piękne tyrady. Był nim przystojny Leopold Pobóg-

Kielanowski, młody aktor i reżyser hołdujący idei teatru monumentalnego.

W czasie wojny pojawił się w Anglii i był wielokrotnym reżyserem Teatru Polskiego w Londynie. Przypomniał wtedy swoje udane inscenizacje z Polski, również "Księcia Niezłomnego", którego już sam nie zagrał.

W Katowicach dla swawoli współ z kolegami chrupałem głośno suchary w momentach najwznioślejszych. Odpokutowałem burszowskie wybryki później, kiedy zostawszy iberystą byłem promotorem pracy doktorskiej właśnie poświęconej "Księciu Niezłomnemu". Z kurtuazji bardziej niż realizmu posłałem Kielanowskiemu w Londynie do wglądu mój przekład moralitetu Calderona "Tajemnice Mszy Św.", z którego on, w warunkach emigracyjnych, rzecz jasna, nie mógł skorzystać.

I tak wśród nauki i zabaw płynęły młode lata. W czasie letnich wakacji znalazłem się w Katowicach i byłem świadkiem manifestacyjnego pogrzebu Wojciecha Korfantego. Zdało się, że cała Opolszczyzna przyszła przez granicę w barwnych strojach żegnać swojego tragicznego bohatera i przywódcę, nieświadoma, że z jego odejściem miała nastąpić era okrutnej wojny i dramatycznego przewrotu.

Z zawadzkiego pod Walencję

22 czerwca 2017 r. Miejska Biblioteka Publiczna im. Bolesława Lubosza w Tarnowskich Górach gościła wyjątkowego człowieka: wybitnego polskiego pisarza, członka Związku Literatów Polskich, byłego pracownika BBC i Radia Wolna Europa, Honorowego Obywatela Miasta Tarnowskie Góry - Piotra Guzego. Na spotkanie ze znakomitym Gościem przybyły tłumy czytelników; nie zabrakło przedstawicieli władz miasta, instytucji kultury, prasy, a także najbliższej rodziny, nadal mieszkającej w Tarnowskich Górach.



Książki Piotra Guzego, fot. Pola Vesper.

Florian Śmieja

W zawadzkim w powiecie opolskim urodził się Piotr Guzy, syn powstańca śląskiego Juliusza. Na skutek podziału Górnego Śląska, po plebiscycie, jego rodzina schroniła się w przypadających Polsce Tarnowskich Górach. Po szkole powszechnej zapisał się do gimnazjum i liceum im. księcia Jana Opolskiego, dziś niepotrzebnie przemianowanego na Stanisława Staszica. Wojna wybuchła na rok przed maturą, tak że młody alumn z formacją przysposobienia wojskowego pomaszerował na

wschód, by w Rumunii skończyć w internowaniu. Stamtąd zbiegł do Francji do wojska polskiego, a następnie do Wielkiej Brytanii. Z I Dywizją gen. Stanisława Maczka wziął udział w inwazji Europy, a po zwolnieniu z wojska, na uniwersytecie londyńskim zaczął studia ekonomiczne. Nie skończywszy ich wrócił z angielską żoną i synem do Polski w 1949 roku. Magisterium z ekonomii uzyskał w Poznaniu i przez pewien czas pracował w „Tygodniku Zachodnim”.

Nękanym i inwigilowanym przez bezpiekę przez Berlin Wschodni uciekł z powrotem do Anglii w 1957. Zaczął pracować w BBC a potem w Wolnej Europie w Monachium.



„Krótki żywot bohatera pozytywnego”, fot. Pola Vesper.

Kiedy w 1966 opublikował „Krótki żywot bohatera pozytywnego” w paryskiej „Kulturze” powitał go entuzjastycznie Gustaw Herling-Grudziński słowami

Jest to jedna z najwybitniejszych książek polskich, jakie się

ukazały ostatnio w kraju i na emigracji. Witam w panu nowego pisarza o wielkim talencie.

A Wacław Grubiński wtórował w Londynie:

Niepospolity talent literacki Piotra Guzego widzę w tym, że umiał w słowach prostych, prostackich, umyślnie ordynarnych ...wszczepić żywy puls szczutego człowieka, jego strach, jego bunt i jego rozpacz.

Po przejściu na emeryturę Guzy osiadł w Hiszpanii pod Walencją. Odwiedził Śląsk, a Tarnowskie Góry nadały mu honorowe obywatelstwo. Pisarz tak to skwitował:

Tarnowskie Góry uczyniły mnie tym, kim teraz jestem, były zaczyneń tego, czym później zostałem, w najbardziej istotny sposób dały mi miejsce startu do mojej przyszłej pisarskiej drogi.

Zaczął życie literackie w fatalnym okresie. Ostre dyrektywy partii podporządkowały sobie większość pisarzy polskich. Guzy myślał, że pisząc popularne dreszczowce uniknie kontroli władz. Napisał książkę o tzw. sprawie Bergu. Przyjęło ją do druku

Ministerstwo Obrony Narodowej. Zanim się ukazała, do Poznania przyjechał Kazimierz Koźniewski i w hotelu „Bazar” razem z autorem sprawdzał strona po stronie cały tekst, by był politycznie poprawny. Kiedy Guzy protestował, usłyszał reprimendę:

Proszę pana, my Hamletów nie potrzebujemy, albo się jest z nami, albo przeciwko nam.

Od literatów owego okresu wyróżnia Guzego fakt przyznania się do wstydu:

To była wredna książka. Pod sensacyjną fabułą kryła się trucizna, która w umysłach czytelnika utwierdzała poczucie bezradności, nieodwracalności systemu, szkodliwa książka, która w podstępny sposób mówiła, że inaczej już nie będzie, nie może być i z tym się należy pogodzić.

Jego twórczość poza Polską była próbą oczyszczenia. W „Zwidach na wysokościach” wyśmiał kult Stalina wśród pisarzy, którzy *przed siedzącym tam na wysokościach największym zbrodniarzem wszystkich czasów* wyciągają błagalnie swoje manuskrypty.

Macki polskiej bezpieki sięgały aż do Anglii i w „Requiem dla pani Tosi”, każą zaszczonej kobiecie popełnić samobójstwo.

Mimo, że przed wojną także uczęszczałem do tego samego gimnazjum co Guzy, trzy lata różnicy wieku sprawiły, że nie znaliśmy się. Na domiar złego, w 1937 roku byliśmy na tej samej wycieczce do Wilna i Pińska. Stoimy na wspólnym zdjęciu pod Ostrą Bramą w Wilnie. Pamiętamy te same wydarzenia, jak np jezioro Horodyszcze koło Pińska. Spotkaliśmy się dopiero w 2005 roku w Toronto, dwaj Opolanie gnani po świecie. Dzięki poczcie, a szczególnie internetowi poznaliśmy się bliżej i zainteresowali własną twórczością literacką.

Miałem wielką satysfakcję, kiedy Guzy wybrał się do Polski i w Tarnowskich Górach w 1999 miał swój wieczór autorski w historycznej sali nad restauracją Sedlaczka. Impreza była bardzo udana, publiczność dopisała, pojawiła się telewizja z Katowic, wyszły reportaże.



Piotr Guzy podczas spotkania
autorskiego w Tarnowskich
Górach, w czerwcu 2017 ,. fot.
Pola Vesper.

Gratulowałem Guzemu sukcesu i zachęcałem do ściślejszych kontaktów z czytelnikami, ale on skromnie zasłaniał się zbyt małym dorobkiem pisarskim składającym się z czterech powieści i kilku opowiadań. Ponieważ „Krótki życiorys bohatera

pozytywnego” i „Stan wyjątkowy” ukazały się u Giedroycia w Paryżu i tylko pojedyncze egzemplarze dotarły do Polski, a „Requiem dla pani Tosi” w Londynie, jedynie „Zwidy” wyszły w Polsce w 1994 roku w niskim nakładzie, faktycznie więc w Polsce Guzy pozostaje autorem nieznanym.

Zamiast domagać się ich publikacji, Guzy tłumaczy, że żaden wydawca się nie znajdzie, bo nikogo już sprawy w nich poruszane nie interesują, jako że mówią o doświadczeniach innych ludzi, którzy przeszli przez gehennę i też nie chcą już o niej czytać.

Ale można na tę sytuację spojrzeć inaczej. Minęło już dużo lat od powrotu literatury emigracji niepodległościowej do ojczyzny. Najwięksi doczekali się triumfalnego ingresu, ale o wielu innych wygodnie zapomniano. Czyżby poloniści i krytycy nie mieli obowiązku badania całej literackiej podaży i rzetelnego oceniania jej? Na jednych jest więc przyzwolenie i aplauz, innych się ignoruje czy wręcz przemilcza. Na bezstronnego krytyka nie mogą liczyć. Jak to się dzieje, że nie pojawia się wcale nazwisko Piotra Guzego, że w bibliotekach nie ma jego książek, nikt nie wydaje jego prozy? Sądzę, że region tak bogaty jak Śląsk, do którego ciągną ludzie z całej Polski, powinno stać na zafundowanie swoim pisarzom, wydawnictwa Biblioteka Autorów Śląskich, by mogły się w nim ukazywać książki Guzego, a także Pawła Łyska z Istebnej i innych pisarzy, nie mogące

wrócić z obczyzny po tylu latach. To wstyd za śląskich polonistów, redaktorów, wydawców, krytyków i bibliotekarzy.

A tymczasem nasz ziomek czeka i pisze. Sytuacja polityczna i społeczna ojczyzny nim wstrząsnęła .

Ja myślę, że trzeba będzie przeczekać jedno pokolenie, cała ta scheda po komunizmie musi zniknąć, musi umrzeć, do polityki muszą wejść nowi ludzie, jeszcze nie znarowieni.



Piotr Guzy wraz z Marceliną Janisz, która napisała doktorat o

jego twórczości i wygłosiła
referat podczas spotkania w
Tarnowskich Górach, w czerwcu
2017 r.

Biada nad losem języka polskiego, który się zmienia, by nadążyć za degrengoladą społeczeństwa. Dziwuje się nad znieczuleniem sumienia, kiedy mówi się o dyrektorach i wojewodach, którzy „wyprowadzają” pieniądze z przedsiębiorstw, więc kradną, robią „przekręty”. Nie ma nikogo, ktoby nazwał zło złem, tzw. elity są na zastraszająco niskim poziomie moralnym. Nie bardzo widzi drogi wyjścia, bo państwo zostało tak zbudowane, że zostawiło miejsce na korupcję.

Nazywa siebie jednak „niechętnym optymistą”.

I ten optymizm sprawił, że doczekał miłej niespodzianki. W Opolu udało mu się samemu wydać cztery ważne powieści i tom opowiadań. A skończywszy 95 lat w czerwcu 2017 roku odważył się z Hiszpanii polecieć do Polski. Tam był w Tarnowskich Górach entuzjastycznie przyjmowany i w bibliotece miejskiej wysłuchał wykładu dr Marceliny Janisz, autorki jemu poświęconej pracy doktorskiej, a potem dyskusję poprowadził poeta Andrzej Kanclerz.

O swojej wyprawie pisał optymistycznie:

Mam nadzieję, że po tym wypadzie w moje ojczyście strony, będę miał niczym nie zakłócony spokój i będę mógł się zabrać do pisania.

Galeria

Spotkanie z Piotrem Guzycm w Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Bolesława Lubosza w Tarnowskich Górach, 22 czerwca 2017 r.



Od lewej: Agnieszka Rudawska – Dyrektor MBP, Piotr Guzy i prowadzący Andrzej Kanclerz, fot. Pola Vesper.



Od lewej: Piotr Guzy, prowadzący poeta Andrzej Kanclerz oraz Marcelina Janisz.





Fotografie, autorstwa Poli Vesper, pochodzą ze strony Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Bolesława Lubosza w Tarnowskich Górach.